

25 II

Miałem szczęście. Trafiłem na mistrzów. Nie każdemu to się zdarza. Mam na myśli Marię J., Jana B., i Czesława M. Używam inicjałów, żeby uniknąć pokusy dytyrambu czyli pochlebstwa. Chciałbym być prawdomównym, czułym i sprawiedliwym – nie ma rady, nikt tego nie potrafi.

Maria J.

Trafiłem na jej seminarium przypadkiem.

Caryca. Margaret Thatcher polskiej humanistki (tak o niej wtedy mówiono). Obelisk. Latarnia morska romantyzmu. Gromy. Symfonie. Rzuty ducha. Szarostalowy żakiet z kołnierzykiem Słowackiego, siwa grzywka, królujące czoło...

A pod spodem? Licealistka z paczką książek pod pachą? Harcerka wileńska biegająca na tajne komplety? Komsomołka z robotniczej Łodzi, z cicha niechętna Pannie, co w jasnej świeci Częstochowie? Krucha studentka z warkoczem? I jeśli lgnąłem – to lgnąłem do kogo? Do tej carycy? Czy raczej do tej dziewczeczki w carycy ukrytej? Cudowne zmieszanie! Czyż nie byłem chłopcem zbłąkanym, który lgnie do siły ducha, ale przywiera do słabości, co carską koronę potrafi dźwigać na skroniach, tak że słabości nie widać? Czyż nie to najbardziej nas zbliżało – a reszta: trony, moce, Prometeusze – to był królewski płaszcz (podszyty bólem), który przysłaniał nasze wątłe ramiona? Ach, nosić taki płaszcz! Pod takim płaszczem garba mojego nie widać.

Błyskotliwa, mądra, bystra, uduchowiona, mocna, lotna, zręczna, wykształcona, czytana, wciągająca tłumy na Górę! Prometeusz! Faust! Lubiała szczególnie tego pierwszego. Zaraziła mnie zachwytem dla „szczytów człowieczeństwa”.

Ale ja nie chciałem się wdrapywać na żadne „szczyty człowieczeństwa”! Broń Boże! Ja chciałem być taki sam jak seryjni studenci ekonomii, prawa, administracji, budownictwa lądowego, powietrznego i wodnego. Gdzież im tam było do wierszyków, poematów, powieści, Nietzschego, Derridy, Freuda, do których mnie ciągnęło! Oni brzydzili się tym instynktownie. Unikać! Nie dotykać! „Życie duchowe”? Dobrze sobie... Kiedy byłem na wykładzie Marii J., „życie duchowe” nabierało blasku hartowanej stali. Niepowaga „spraw ducha” przeobrażała się w granitowy tympanon Powagi.

Ale wystarczyło tylko wyjść na ulicę... Tramwaj. Twarze. Gęby. Baba z siatką. Bułki. Ministrant. Kiosk. Edward Gierrek. Rower. Piotr Jaroszewicz. Pompka. Rzeczywistość nagle wlewała się szarą falą – aż mnie zatykało. Szedłem ulicami z wykładu Marii J. do domu – pijany Duchem alkoholik romantyzmu, który spadł z księżycy. To, o czym Maria J. mówiła, było mocne, twarde, realne – ale wiedziałem, że śmiech, śmiech! że całe miasto skręciłoby się ze śmiechu, gdyby usłyszało to, co na tym wykładzie Maria J. mówiła o Prometeuszu w *Kainie* Byrona. Więc gdy tak wieczorami wracałem z uniwersytetu do domu pod rozgwieżdżonym niebem, „życie duchowe” przetaczało się we mnie z powagi w niepowagę, jakbym jechał na diabelskim młynie. Żadnych połączeń. Szklana bania słów – a w niej ja, ale banię wystarczy pstryknąć palcem, a rozsypie się jak puch dmuchawca. Żegnajcie! Żegnajcie!

Ładna historia. Takie rozdarcia. Ale potem to się zmieniło. Ta szklana bania, którą Maria J., budowała dla nas ze słów, ta bania, w której ja zamieszkałem, wcale nie chciała się rozpaść. Przeciwnie: Rzeczywistość z Niereczywistością zamieniły się miejscami. Łyknąłem mocy.

Uwierzyłem w powagę „życia duchowego”. Ona to sprawiła? Słowami? Subtelna analiza znaczeń? Poddawała nas

narkozie, hipnotyzując intonacją, mimiką, tym teatrem gestów, który jednych zachwycił, a innych irytował do głębi? Prawdziwy taniec Zaratustry! Hipnotyzowała nas, żeby za hipnotyzować siebie? Przecież dobrze wiedziała na jak kruchym lodzie odbywały się te harce. „Danziger Kreis”, który stworzyła wokół siebie... Byliśmy oazą dziwactwa, czy – przeciwnie – awangardą Polskiej Kultury? Sporo z nas trafiło w Sierpniu do Stoczni, więc w tych jej romantycznych improwizacjach Ducha była też twarda wola Czynu, która się jakoś spełniła – w innych...

Pamiętam, kiedyś zrobiła przerwę w wykładzie, wyszła na korytarz – a tam, pod ścianami, na podłodze dziesiątki studentów, nielegalny wiec Studenckiego Komitetu Solidarności, chyba pierwszy. Zamilkli. Czekali na jakiś gest – bezbronni, młodzi, głupi – ale nie, nic, nawet nie kiwnęła palcem. Przeszła obok jak widmo Barbary Radziwiłłówny. Wróciła do sali i kontynuowała wykład o idei wolności w *Zamku Kaniowskim*. Były lata siedemdziesiąte.

Drobiazg? Pewnie drobiazg... Bo przecież to, co robiła na wykładach, było wywrotowe w najwyższym stopniu. Nieważne czy byliśmy oazą dziwactwa, czy awangardą Ducha – ten nasz „Danziger Kreis” to była na pewno oaza wolności. Przecież dzięki niej dość gładko przeskoczyliśmy duchowo z komunizmu w kapitalizm. Byliśmy przyzwyczajeni do wolności, którą ona stwarzała. Partia wojewódzka tępiła ją, jak mogła. Każdy rok zaczynał się niewiadomą: będzie u nas pracować, czy nie? Wisiała na włosku, a z nią my. Stworzyła własne państwo Ducha, w którym królowała, dlatego partyjni Kartoflarze – z którymi zresztą wcześniej trzymała – chcieli ją unicestwić. Przy niej wolność nabierała rumieńców. Szara komuna dokoła, a na tych szarych falach realsocjalizmu Statek nasz Pijany, Statek Szaleńców, Arka Romantyzmu, krążownik „Aurora”, co tylko czeka na Jutrzenkę Swobody. I w stanie wojennym – też.

W najczarniejszych dniach czuliśmy to wielkie Nie, które ona nosiła w sobie.

Szło jej o Dobro, o Polskę, o nasze dusze? Może... ale jej bogiem prawdziwym był Ruch Myśli. Ekscytowały ją „nowe ujęcia” (a więc rdzeniem jej duszy była Nuda?). Dlatego trochę bawiła się ludźmi – jak skarbonkami, z których można wytrząsać ciekawe idee. Nowości kwiat ją podniecał, odmiany kwiat, więc wypatrywała go w naszych oczach. Potrzebowała napięć i stwarzała je. Jeśli się śmiała to zawsze przeciw komuś. Taki śmiech zaczepno-odporny, nigdy miękki, rozluźniony, bez adresu. Argumenty pozarozumowe miała nieodparte – wyrazista, operowa, uderzała delikwenta wyniosłymi prychnięciami, szturchała skrzywieniem carskich warg, demonstracyjnym podrzucaniem ramion w wybuchach śmiechu. Artyleria niedbała, zawsze w odwodzie, nie do obrony. Nie kryła irytacji. Wypatrywała ludzi na swoim poziomie – ale gdzież ich szukać? Więc czasem była wściekła, że mówi w dół...

Dlatego tak trzymała formę? Niosła siebie wysoko jak skarb swój kruchy. Podbródek – w górę! Ten sposób chodzenia, majestatyczność wykładającej, gesty. Bardzo się starała dobrze wypaść w cudzym spojrzeniu. Lepiła siebie na naszych oczach z tych wszystkich swoich Prometeuszy, Mickiewiczów i Hegli – w sewrski wzorzec duchowego Poziomu. Cóż za spektakl przejmujący! Sztowność szyi, oczy w nas utkwione, kontakt wzrokowy ciągły, żadnych gwałtowniejszych ruchów, nigdy cienia pośpiechu, panowanie nad Czasem, podgrzewająca intonacja, wydłużenie frazy, głos zawsze uniesiony, spokojna pewność intelektualnego górowania – a potem nagle brutalny żart, śmiech ostrzegający, że żartów nie ma.

I ta duma – najnaturalniejsza w świecie! W stanie wojennym dostała paczkę dobroczynną z Niemiec. „Niemiec mi zupełnie ogonową przysłał, żebyśmy cicho siedzieli. A, won!

Niech sobie tę zupę zabiera!” I w śmiech! Cała się trzęsie ze śmiechu, aż jej oczy błyszczą w furii, co całkiem prawdziwa, choć mocno udawana. Ważniejsze było: zagrać siebie. Zupa i Polska to były tylko dodatki. [...]

Dziwne mieliśmy wobec niej wymagania. Pamiętam te słowa Stanisława R.: „Wyobrażasz sobie taką chwilę? Otwierasz drzwi do jej pokoju i widzisz: kompletnie załamana – płacze”. To był czysty surrealizm. Absolutnie niemożliwe. Łzy Marii J. – to była sprzeczność ontologiczna. Nigdy. Świat by się zawalił. Oczekiwaliśmy od niej twardości. I była twardsza niż dziesięciu facetów. Do pięć jej nie dorastali. Tak ją widzieliśmy. Cóż za nieludzkie żądania, głupie, strachliwe. Ale była dla nas – czy tego chciała, czy nie – Opoką Niezgody. Miała w sobie chłód człowieka czynu, któremu czyn odebrano. Utrudniali jej życie partyjni Kartoflarze, jak mogli. Musiała być taka, by przetrwać. W każdej chwili mogli ją zepchnąć w bezbronną kobiecość, więc się strzegła czułych tonów, bo rozmiękczały i wystawiały na cios.

Czyż jednak pod tym wszystkim nie siedziało to, że nie mogła wytrzymać ze sobą? Ruch, zmiana, nowość, których pożądała bardziej niż prawdy – były zatem ucieczką? Kto wie... To też dobrze znałem z życia własnego, więc włączałem się łapczywie w tę gonitwę masek. Uciec od siebie w Historię, w Prometeusza, w Rewolucję, w Mickiewicza, w Słowackiego, w Wampiry. Historię nadmuchać do rozmiarów Historii, by polatać sobie nad martwym światem. Ortograficzna magia! O, Prospero! Cóż za metamorfozy! Szarpanina tłumy z milicją na ulicach? A skądże! To przecie Duch Dziejów dąży ku górze. Strajkujący stoczniowiec, co płot przeskakuje? To przecie Robotnik, co Dzieje wykuwa. Wyrobnicza robota w fabryce? To przecie Praca, co nas oddziela od Nicości. Zapaszek brzoźowszczyzny unosił się nad tym wszystkim jak kadzidelko opiumowe, indyjskie. Za ciasno jej było w sobie samej, więc poszerzała świat, by się w nim zmieścić?

Dobrze się czuła na wysokościach, w rzece Historii podniebnej, chociaż podniecał ją Gombrowicz, oddolnie kásający wielkości w łydkę. Ja w żadną Historię nie wierzyłem nigdy, więc jeżyłem się na te pieśni cherubińskie, co Bogów Historii stwarzały, ale ulegałem, ulegałem... Czarodziejka! Dusze wiodła, gdzie chciała. Ale co to i były za dusze: nadwrażliwe, rozbite, z orbit wytrącone.

Lecz fundament? Czyż fundamentem nie była jednak ostateczna niewiara? Brak Łaski? Żyła naprawdę w świecie bez Boga. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem kogoś takiego. O ateistach się słyszało – ale gdzie ich szukać? U nas? W Polsce? A tu moc biła z pustego źródła. Patos prawdziwy! Zbudować siebie w pustce. Nicość przerobić na Ludzkość, by w niej zamieszkać. To do tego właśnie potrzebna jej była Sztuka. Państwo duchów wyższych, kolegów o mocnym istnieniu, w którym żyć można na przekór tyranii Czasu – na takich to wysokościach wszystko się odbywało. Kulturę i Sztukę w Kościół przemieniała, w katedrę Ducha w świecie bez Boga, by w niej uwić gniazdo – dla siebie. Cóż jest życie? Bańkę mydlaną dmuchać w kosmicznych przestrzeniach. Wpleść siebie w girlandę duchów umarłych, by strawą symboli wzmocnić swój byt kruchy.

Więc to mnie do niej przyciągało? Ten szalony pomysł na życie? Pić przez słomkę cudzą krew – duchową, rzecz jasna... – by istnieć prawdziwiej. Nic dziwnego, że tak ją ekscytował temat wampiryzmu. Transgresja jako transfuzja. Kuszące... szczególnie w stanie, w jakim wtedy byłem – rozbity w drobny mak, bezkrwisty, wykrwawiony, na dnie. „Otchłań mojej duszy krzykiem wzywa otchłań Boga; powiedz, która jest głębsza?” – wracając wieczorami z uniwersytetu, wołałem do gwiazd słowami Anioła Ślázaka. Wspaniała, groźna Historia, wspaniała i groźna Literatura, którą ona stwarzała – to były wysokogórskie krainy, w których pragnąłem zamieszkać. Z Historii i Literatury zrobić własne życie. Sztandar duszy nieść przeciw

śmierci. Bardzo to było mistyczne i bardzo bezbożne – bo wyzbyte wszelkiej nadziei.

Ten brak nadziei kusił najbardziej? To, jak ona sobie radziła z brakiem nadziei – w najlepszym stylu wprzęgając Historię i Literaturę do kieratu własnych przeznaczeń? Czyż nie pobrzmiwało w jej głosie grzeszne prometejskie marzenie o samoubóstwieniu ziemskiej gliny, która dumnie nie zgadza się na własny los, chociaż wie, że nie ma żadnych szans w spotkaniu ze śmiercią? Za włosy wyciągnąć siebie z bagna... Struktura religijnego myślenia na usługach ateizmu – piękne to było i budzące szacunek... choć i trochę przerażające.

A tu tymczasem Maria J. paliła w tym diabelskim piecu. Jej sposób myślenia? Podniecały ją inwersje, odwrócenia, zaskakujące zmiany perspektywy. Na przykład obraz mężczyzny w ciąży, który czuje w sobie ruchy płodu – to odnajdywała w *Dziadach*. Błyskotliwe! Kuszące! Ale ja? Przeklęta Różnica! Ja w swoim brzuchu chciałem czuć tylko wątrobę. Ona szukała w Inwersjach wolności. Ja chciałem z Inwersji wyrwać się na wolność. Uchwycić Miarę. To był mój program.

Chciałem być zwykły, seryjny, najzwyklejszy, nierozpoznawalny, porządny, anonimowy, spełniający warunki. Już wtedy zdałem sobie sprawę, że najtrudniejsza do osiągnięcia w życiu jest normalność, bycie zwykłą dobrą matką, dobrym ojcem, dobrym dzieckiem, że to przekracza możliwości większości ludzi na Ziemi, że większość ludzi może tylko o tym marzyć. Bo właśnie zwykłość jest prawdziwie niezwykła, rzadka jak czarny albinos. Bo wszystkich nas coś ciągle wyrzuca poza Miarę. A sztuka? Czułem, że sztuka to wytrącenie usprawiedliwiania i uwznioślenia. Prometeusz? Więc to, co łatwe, bo naturalne, Maria J. przedstawiała nam jako heroiczny trud wyodrębnienia? Na to wyglądało... Ale ja byłem już wyodrębniony dostatecznie, tego miałem w nadmiarze, nie musia-

łem niczego wywalczać, byłem ruchomą chwiejnością, ekscentryzmem i pragnąłem Normy. Na próżno!

Oczywiście, nie takie to gładkie wszystko było... Bo przecież normą się brzydziłem. Ale ta norma, którą się brzydziłem, to była norma kartoflanego świata, normalność paskudna, banal, zwykłość średnia i głupia. Nie takiej pragnąłem. Ta, której pragnąłem, była raczej niewidzialną zasadą Równowagi, nieosiągalną, błyszczącą w mroku jak kielich Graala. Kusił mnie obraz człowieka, który żyje w zgodzie z istnieniem, którego nie zarzuca na zakrętach, obraz człowieka zrównoważonego jak Bolesław Prus – o, naiwności! – tak jakby Bolesław Prus był zrównoważonym buchalterem polskiej prozy, ten Bolesław Prus, w którego mózgu wylęgło się takie seksualne monstrum jak Izabela Łęcka! Och, zapanaować nad własnym istnieniem. Ja sobie miejsca na Ziemi znaleźć nie mogłem.

A tu do tego ta jej dziwna niewrażliwość na piękno. Od razu wyczułem, że z tej strony nie mogę przyjmować rad w sprawie pisania. Mądrość prometejska Marii J. zwracała się przeciw sztuce, choć sztukę wynosiła na piedestał. Przyjąć rady – byłoby zabójcze, więc nawet się nie starałem. Interesowało ją w literaturze, jak egzystencja szuka formy, jak wędruje w lesie idei, jak wywalcza swoje miejsce wśród ludzi, jak się wyodrębnia i indywidualizuje. Ale uwodzenie? Ale blask formy? Ale lekkość pusta obcowania ludzi w świecie dźwięków i barw? Ale piankowa erotyczna lekkość wierszowania? Ona nawet milcząc, wymawiała Wielkie Litery. W jej oczach Literatura stawiała się Poważną Sprawą. Tu toczyły się Boje Ducha. Jakby chciała ptasie trele poetów zmienić w walkę światopoglądów, w której to walce się czuła dużo pewniej niż w świecie kuszenia i wabienia? Nawet bawiąc się, ścierała się z Losem.

Ale ja właśnie tego potrzebowałem! Tej frazy podniebnej, podszytej brutalnością. Tą aurą chciałem oddychać. To mnie wzmacniało. Wyciągało z otchłani.

Mówiła o książkach: „To dobre. To świetnie napisane”, ale nie wciągała w oczarowanie, bez którego pisarze umierają w duszach czytelników. Żadnej estetycznej egzaltacji. Raczej znawstwo, surowy osąd wyczynów Ducha. Lecz mnie to właśnie brało, ten jej gorący chłód, może dlatego, że byłem odepchnięty od stołu życia – jak ona? To był ten sekretny punkt, który nas łączył?

To, co mówiła, wzmacniało mnie przeciw światu. Chłonałem wszystko. Aż kiedyś, któregoś dnia – stop! zaraz! – to mi zagraża, to mnie osłabia, to mnie nie wzmacnia. Dokąd nas prowadziła? Czy chodziło o mądrość, czy raczej o zaszczepianie w naszych duszach własnego zranienia? Chciała nas poprowadzić ku mądrości czy raczej wybierała dla nas mądrość ściemniającą, bolesną, tragiczną, z której sama nie potrafiła się wygrzebać? Więc z zemsty – wysłała nas w swój świat jak ośmiornica? Ale może było tak, że jak ciemny magnes przyciągała ku sobie nas – pokręconych, rozbitych, odepchniętych od stołu życia i nie musiała niczego zaszczepiać, bo to stado, to niezwykle stado, które wokół niej wirowało, w jej słowach właśnie znajdowało wzniosłość własnego odrzucenia. Utalentowani przegrańcy, zdolni frustraci, błyskotliwi połamańcy – ciągnęliśmy do niej jak pszczoły do miodu, wyczuwając, że gorycz, którą nas raczy, jest tym samym wewnętrznym eliksirem, który płynie w naszych żyłach? Transgresje! Tragizmy! Przekroczenia! Wszyscyśmy byli przekroczonymi na wylot – i bez niej, wyrzuceni poza nawias, szukający wzniosłego alibi dla swojej Różnicy?

Kto wie, może tak właśnie było... Bo ja... Tak, ja chyba dlatego trafiłem do tego wirującego stada, chociaż w jej pobliżu popchnął mnie czysty przypadek. Tam odnalazłem aromat znajomy gorzko-słodki własnej duszy, z którą nie wie-

działem co począć. Słaby, bezbronny, pozbawiony wiary w wartość własnego świata, uczyłem się od niej agresji, która przybierała formę wściekłych, olśniewających piruetów intelektu świeckiego, ostrego, zbuntowanego – ale przeciw komu? Przeciw komu było to wszystko? Te wykłady, konwersatoria, seminaria, essaye? Przeciw komu buchał ten gejzer? Przeciw komunistycznej niewoli, w której ugrzęźliśmy jak w smole?

Lgnęła do duchów wykolejonych. Przerabiała ich klęskę na zwycięstwo. Artaud, Genet, obłąkany stary Peiper, szalony Oskar Grassa, obłąkany Słowacki mistyczny... W jej opowieściach ci nieszczęśnicy, odepchnięci przez Los od stołu życia, to były „duchy transgresyjne”, argonaucci prawdziwi, zwycięzcy ofiarnicy, którzy przestrzeń egzystencji poszerzali. I nagle – czarodziejską mocą słowa – to, co poboczne, przegrane, pokraczne, rozbłyśkiwało blaskiem spełnionego człowieczeństwa. Czarne jezioro ludzkiej klęski przeobrażało się w szwajcarski staw o poranku. Orzeźwiająca kąpiel. To nas wyluskiwało z naszej pokraczności i umieszczało nasze błędy na urojonym świeczniku. Wyzwalało z lęku. Podbijało bębenka.

Kiedys ją odwiedziłem.

Ach, Boże...

Na stole w pokoju znaczek antysowiecki z napisem „Russian tanks? No!”, bagnet z pierwszej wojny światowej i pocztówka – młody Bonaparte na moście w Arcole. Książki, zwały książek, wszędzie książki, całe ściany, podłoga – i ten Napoleon młodziutki. Boże, Boże... – wszystko wołało we mnie wniebogłosy. Chciałem uciekać, uciekać natychmiast, ale równocześnie wiedziałem, że to jest „mój światek”, że znalazłem się na swoim miejscu, że to jest moja sfera, sfera oddzielona od powietrza i zdrowia, jakiś powiew Różnicy, w której rozpoznawałem Różnicę własną, lecz moja Różnica była Różnicą młodości (więc łatwiejszą do strawienia?), a tu widziałem przed sobą Napoleona z szablą i sztandarem, zardzewiały

bagnet, „własny światek”... Nigdy mnie nie brał Bonaparte. Zawsze nie lubiłem tego gościa, więc sierść mi się zjeżyła na karku.

Ach, Boże, co za chwila... Wtajemniczenie prawdziwe w Los, bo przecież patrząc na nią, ujrzałem także los swój własny. Chłopiec imieniem Bonaparte stał na moście w Arcole i bezlitośnie wpatrywał się we mnie. [...]

Więc każdym słowem walczyła z komunizmem kartoflanym? Więc to był jej wróg główny? Czy raczej przede wszystkim uderzała w „ten ciemny naród od Rydzyka”, który w Marcu uderzył w nią otwarcie, a życie od dawna zatruwał, wyrzucając ją poza nawias – jako „obcą”? Przecież po wojnie została „czerwoną” właśnie po to, by ten ciemny naród wydezynfekować szarym mydłem postępowego romantyzmu oraz socjalizmu tragicznego, co się, oczywiście, udać nie mogło. Ale chciała. Więc tym naszym „Danziger Kreis”, więc tymi naszymi młodymi głowami napchanymi transgresją waliła jak taranem w „ten ciemny naród”? Więc to była prawdziwa sprężyna tej Romantycznej Piramidy Ducha, strzelającej fajerwerkami idei?

Siedziałem przy stoliku, patrzyłem. Byliśmy – ja i ona – przy tym stoliku okrągłym nie w smak „temu Narodowi”, a skoro byliśmy nie w smak „temu Narodowi”, to byliśmy do wyeliminowania w ogólniejszym sensie. Siedzieliśmy na dwóch krzeselkach przy okrągłym stoliku – dwie potrawy nazbyt egzotyczne dla swojskiego podniebienia. Więc to stąd właśnie brała się ta jej legendarna twardość diamentu? Z tego niesmaku, z tego wypchnięcia za drzwi, z tego wykluczenia? Patrząc na młodziutkiego Napoleona z szablą, który cierpliwie wgapiał się we mnie ze sławnego mostu Arcole, widziałem jej niezasłużoną klęskę, która miała wszelkie pozory zwycięstwa.

I czułem, że i na mnie przyjdzie kiedyś kryska. Że dusze nasze – te dusze tragiczno-prometejsko-wampiryczne, pod-

łączone do Fausta, Marksa, Freuda i Kaina – dla ludu naszego prawdziwie niestrawne, choć uznanie, oklaski i chwała, chwała.

Była jedną z najświetniejszych osób, jakie spotkałem w życiu. Miałem się od kogo odbić. Ale tajemne jady, które wpuściła do moich żył, wciąż w nich krążą, zabarwiając moje zabawy literackie kolorem ciemnego miodu z nieodzowną domieszką goryczy. [...]

Oczywiście, nie muszę dodawać, że naprawdę wszystko było zupełnie inaczej.

I kim była w rzeczywistości, nie dowiemy się nigdy.

Rozmowa z S.

(popołudnie, w pociągu, po wizycie u pisarza S., zapisuję w notesie, między Warszawą a Malborkiem)

Zdumiewające! Trochę mnie przestrzegano, ale nie wierzyłem. Jechałem zobaczyć pisarza szczęśliwego. Właściwie tylko po to. „Czyś ty kiedyś widział pisarza szczęśliwego?” – zapytałem Jana Błońskiego (w restauracji na Puławskiej po posiedzeniu jury Nagrody Nike). Jan na to: „No, nie, chyba nie widziałem”. Bo rzeczywiście, gdzie nie spojrzysz, dramat.

O, pisarskie żony mogłyby coś na ten temat powiedzieć! Na przykład żona H. albo żona J.

Więc jechałem zobaczyć pisarza szczęśliwego? No, niezupełnie. Niechby choćby uspokojonego w sobie, okrzepłego – nazwijcie to jak chcecie – ale, do diabła, żeby chociaż jeden się trafił!

Przyjął mnie bardzo uprzejmie, z eleganckim obejściem, dorzucając, że urodził się przed wojną, więc to naturalne. Potem prosto, w lewo, znów w lewo, zaprowadził do szklane-